



TRACEY
GARVIS GRAVES

NA WYSPIE

ROZDZIAŁ 1

Anna

Czerwiec 2001

Miałam trzydzieści lat, gdy hydroplan, którym podróżowaliśmy z szesnastoletnim T.J. Callahanem, roztrzaskał się, lądując na Oceanie Indyjskim. T.J. miał już wówczas za sobą trzymiesięczny okres remisji chłoniaka Hodgkina. Pilot o imieniu Mick zmarł, zanim jeszcze uderzyliśmy w wodę.

Mój chłopak John odwiózł mnie na lotnisko, mimo że był trzeci na mojej liście osób, z którymi chciałabym polecieć, po mamie i siostrze Sarah. Torowaliśmy sobie drogę przez tłum, każde z nas ciągnęło dużą walizkę na kółkach, a ja zastanawiałam się, czy tego dnia wszyscy mieszkańcy zdecydowali się dokądś lecieć. Gdy wreszcie dotarliśmy do stanowiska US Airways, kontroler uśmiechnął się, oznakował mój bagaż i podał mi kartę pokładową.

– Dziękuję, panno Emerson. Załatwiłem dla pani wszystko na całej trasie przelotu do Male. Życzę bezpiecznej podróży.

Schowałam kartę pokładową do torebki i odwróciłam się do Johna, by się z nim pożegnać.

– Dziękuję, że mnie podrzuciłeś na lotnisko.

- Odprowadzę cię, Anno.
- Nie musisz – odparłam, kręcąc głową.
- Ale chcę – zachnął się.

Szliśmy, powłócząc nogami, w tłumie wolno posuwających się pasażerów. Przy bramce John zapytał:

- Jak on wygląda?
- Chudy i łysy.

Przeszukałam spojrzeniem tłoczących się ludzi i uśmiechnęłam się, gdy udało mi się wypatrzeć T.J., ponieważ jego głowę pokrywały już krótkie ciemne włosy. Pomachałam do niego, a on pozdrowił mnie skinieniem głowy. Chłopak siedzący obok szturchnął go łokciem.

- Kim jest ten drugi dzieciak? – spytał John.
- Chyba jego przyjaciel, Ben.

Rozparci w fotelach w swobodnych pozach, byli ubrani w styl, który najbardziej odpowiadał większości szesnastolatków: długie, workowate sportowe szorty, T-shirty i adidasy z rozwiązanymi sznurowadłami. Granatowy plecak leżał na podłodze u stóp T.J.

- Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? – spytał John. Wsadził ręce do tylnych kieszeni spodni, utkwivszy spojrzenie w wytartej wykładzinie w sali odlotów.

Cóż, jedno z nas musi coś zrobić.

- Tak.

- Proszę, nie podejmuj ostatecznej decyzji do czasu powrotu.

Nie zwróciłam uwagi na ironię w jego prośbie.

- Przecież obiecałam.

Ale naprawdę wyjście było jedno. Po prostu zdecydowałam się poczekać z tym do końca lata.

John objął mnie w talii i pocałował. Trwało to kilka

sekund dłużej, niż powinno w miejscu publicznym. Zazenowana, odsunęłam się. Kątem oka zauważyłam, że T.J. i Ben obserwują tę scenę.

– Kocham cię – powiedział John.

Skinęłam głową.

– Wiem.

Zrezygnowany, podniósł moją torbę podręczną i zawiesił mi ją na ramieniu.

– Bezpiecznego lotu. Zadzwoń, jak już dotrzesz na miejsce.

– Dobrze.

Odszedł, a ja patrzyłam za nim, dopóki nie zniknął w tłumie, po czym wygładziłam przód spódnicy i podeszłam do chłopców. Spuścili wzrok, gdy się zbliżałam.

– Cześć, T.J. Świetnie wyglądasz. Jesteś gotów do podróży?

Nasze oczy na moment się spotkały.

– Tak, jasne.

Przybrał na wadze i nie był już taki blady. Miał aparat na zębach, którego nie widziałam wcześniej, i małą bliznę na podbródku.

– Cześć, jestem Anna – przedstawiłam się chłopcu siedzącemu obok T.J. – A ty zapewne Ben. Jak się udała impreza?

Zerknął speszony na T.J.

– Eee, była w porządku.

Wyjęłam telefon komórkowy i sprawdziłam, która godzina.

– Zaraz wracam, T.J., chcę sprawdzić nasz lot.

Odchodząc, usłyszałam, jak Ben mówi:

– Chłopie, twoja niania to niezła lalunia.

– To moja korepetytorka, dupku.

Puściłam jego słowa mimo uszu. Uczyłam w szkole średniej i uważałam, że sporadyczne uwagi ze strony chłopców w okresie dojrzewania, kiedy to buzują w nich hormony, są wliczone w zwykłe ryzyko zawodowe.

Potwierdziłam, że samolot odlatuje zgodnie z rozkładem, po czym wróciłam i usiadłam w pustym fotelu obok T.J.

– Ben już poszedł?

– Tak, jego mama miała dość krążenia po lotnisku. Nie pozwolił jej przyjść tu z nami.

– Masz ochotę coś zjeść?

Pokręcił głową.

– Nie jestem głodny.

Siedzieliśmy w kłopotliwym milczeniu, dopóki nie nadeszła pora wejścia na pokład samolotu. T.J. szedł za mną wąskim przejściem do naszych miejsc w pierwszej klasie.

– Chcesz usiąść przy oknie? – spytałam.

T.J. wzruszył ramionami.

– Jasne. Dzięki.

Odsunęłam się na bok i czekałam, aż usiądzie, a następnie usiadłam obok niego i zapięłam pas. Wyjął z plecaka przenośny odtwarzacz CD i włożył słuchawki, dając mi w ten sposób delikatnie do zrozumienia, że nie jest zainteresowany rozmową. Ja wyjęłam książkę, pilot wystartował i Chicago zostało za nami.

*

Sytuacja zaczęła się komplikować w Niemczech. Podróż z Chicago do Male – stolicy Malediwów – powinna zająć osiemnaście godzin, ale mieliśmy opóźnienie, spędziliśmy bowiem cały dzień i pół nocy na lotnisku we Frankfurcie,

czekając, aż linie lotnicze zmienią nam trasę z powodu jakichś problemów technicznych i złych warunków pogodowych. W związku z tym nasz pierwotny plan podróży się zdezaktualizował. Siedzieliśmy z T.J. na twardych plastikowych krzesłach do trzeciej nad ranem, gdy wreszcie potwierdzono nasz kolejny lot. Potarł oczy.

Wskazałam na rząd pustych krzeseł.

– Może się położysz?

– Nie, nie trzeba, dzięki – odrzekł, tłumiąc ziewnięcie.

– Wylatujemy dopiero za kilka godzin. Powinieneś spróbować się przespać.

– A ty nie jesteś zmęczona?

Byłam wykończona, ale prawdopodobnie T.J. potrzebował odpoczynku bardziej ode mnie.

– Nic mi nie jest – rzuciłam. – No, idź, połóż się.

– Jesteś pewna?

– Absolutnie.

– Dobrze. – Uśmiechnął się słabo. – Dziękuję. – Wyciągnął się na krzesłach i niemal natychmiast zasnął.

Gapiłam się przez okno, obserwując lądujące i startujące samoloty, ich czerwone światła mrugały na nocnym niebie. W hali była włączona klimatyzacja i dostałam gęsiej skórki, drżałam z zimna w spódniczce i bluzce z krótkimi rękawami. Weszłam do toalety i przebrałam się w dżinsy i bluzę, które spakowałam do podręcznej torby, po czym kupiłam sobie gorącą kawę. Usiadłam z powrotem obok T.J., otworzyłam książkę i zagłębiłam się w lekturze. Po upływie trzech godzin obudziłam go, gdy wywołano nasz lot.

Po przylocie do Sri Lanki mieliśmy jeszcze większe opóźnienie – tym razem z powodu braku personelu latającego – i gdy wylądowaliśmy na lotnisku w Male na

Malediwach, skąd dzieliły nas jeszcze dwie godziny podróży hydroplanem do wynajętego przez Callahanów letniego domu, nie spałam już od trzydziestu godzin. Czułam pulsujący ból w skroniach, oczy mnie piekły, jakbym miała w nich piasek. Gdy mi powiedziano, że nie ma dla nas rezerwacji, omal się nie rozplakałam.

– Ale przecież mam numer potwierdzenia – powiedziałam do kontrolera, przesuając w jego stronę po kontuarze skrawek papieru. – Uaktualniłam rezerwację przed wylotem ze Sri Lanki. Dwa miejsca. T.J. Callahan i Anna Emerson. Może pan sprawdzić jeszcze raz?

Kontroler sprawdził w komputerze.

– Przykro mi – odrzekł. – Waszych nazwisk nie ma na liście pasażerów. Wszystkie miejsca w hydroplanie są zajęte.

– A kiedy będzie następny lot?

– Wkrótce się ściemni. Hydroplany nie latają po zachodzie słońca. – Widząc moją zboliałą minę, popatrzył na mnie ze współczuciem, postukał w klawiaturę i podniósł słuchawkę. – Zobaczę, co da się zrobić.

– Dziękuję.

T.J. i ja weszliśmy do małego sklepiku, gdzie kupiłam dwie butelki wody.

– Chcesz jedną? – spytałam.

– Nie, dzięki.

– Schowaj ją do plecaka – zaproponowałam, podając mu butelkę. – Może przydać ci się później.

Znalazłam w torebce flakonik tylenolu, wytrząsnęłam dwie tabletki na dłoń i popiłam je odrobiną wody. Usiedliśmy na ławce i zadzwoniłam do Jane, matki T.J., sprzedając ją, że może się nas spodziewać dopiero rano.

– Istnieje szansa, że coś dla nas znajdą, ale nie sądzę, że

wylecimy dziś wieczorem. Hydroplany nie latają, gdy zapadnie ciemność, zanosi się więc na to, że spędzimy noc na lotnisku.

– Strasznie mi przykro, Anno. Musisz być wykończona – powiedziała.

– Wszystko w porządku, naprawdę. Jutro z pewnością uda nam się dotrzeć na miejsce. – Zasłoniłam telefon dłonią. – Chcesz porozmawiać z mamą? – T.J. skrzywił się, kręcąc głową.

Zauważyłam, że kontroler przywołuje mnie skinieniem. Uśmiechał się.

– Jane, posłuchaj, chyba uda nam się... – W tym momencie moja komórka straciła zasięg. Schowałam ją do torebki i podeszłam do stanowiska kontrolera, wstrzymując oddech.

– Jeden z czarterowych pilotów może zabrać was dzisiaj na wyspę – oznajmił. – Pasażerowie, których miał zabrać, przylecą z opóźnieniem, są jeszcze w Sri Lance i dotrą tutaj dopiero jutro rano.

Odetchnęłam z ulgą i uśmiechnęłam się.

– To cudownie. Bardzo dziękuję, że znalazł pan dla nas lot. Naprawdę jestem ogromnie wdzięczna. – Spróbowałam jeszcze raz zadzwonić do rodziców T.J., ale nie zdołałam się z nimi połączyć. Miałam nadzieję, że mi się to uda po przylocie na wyspę. – Jesteś gotów, T.J.?

– Tak – odpowiedział, biorąc plecak.

Minibus podrzucił nas do terminalu powietrznych taksówek. Kontroler sprawdził nasze dokumenty i wyszliśmy na zewnątrz.

Klimat na Malediwach przypominał łaźnię parową w mojej siłowni. Natychmiast na czole i karku pojawiły mi

się krople potu. Powietrze było tak wilgotne, że dżinsy i bluza przykleiły mi się do ciała. Żałowałam, że nie przebrałam się z powrotem w coś lżejszego.

Czy tu jest tak parno przez cały czas?

Pracownik lotniska stał na nabrzeżu obok hydroplanu kołyszącego się łagodnie na wodzie. Przywołał nas gestem dłoni. Gdy podeszliśmy, otworzył drzwi, a my schyliliśmy głowy i weszliśmy na pokład hydroplanu. Pilot, który siedział już w swoim fotelu, uśmiechnął się z ustami pełnymi cheeseburgera.

– Cześć, jestem Mick. – Skończył przeżuwać i połknął.
– Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko temu, że dokończę mój obiad. – Był mężczyzną mocno po pięćdziesiątce, tak grubym, że ledwie mieścił się w fotelu. Miał na sobie szorty bojówki i największy, nierówno ufarbowany T-shirt, jaki w życiu widziałam. Jego stopy były bose, na czole i nad górną wargą perlił mu się pot. Zjadł ostatni kęs cheeseburgera i wytarł twarz serwetką.

– Jestem Anna, a to T.J. – Uśmiechnęłam się i podałam mu rękę. – Jasne, że nie mamy nic przeciwko.

Twin otter DHC-6 mógł zabrać dziesięciu pasażerów i cuchnął paliwem lotniczym i stęchlizną. T.J. zapiął pas i wyjrzał przez okno. Usiadłam po drugiej stronie przejścia, wsunęłam torebkę i bagaż podręczny pod fotel i potarłam oczy. Mick uruchomił silniki. Jego głos utonął w ich warkocie, ale gdy odwrócił się do mnie profilem, widziałam, że wargi mu się poruszają, gdy komunikował się z kimś przez radio. Wyprowadził hydroplan od nabrzeża, nabrał prędkości i znaleźliśmy się w powietrzu.

Przeklinałam moją nieumiejętność spania w samolotach. Zawsze zazdrościłam tym, których sen morzył w chwili,

gdy samolot odrywał się od ziemi, i budzili się, dopiero kiedy koła dotknęły znowu pasa startowego. Próbowalam się zdrzemnąć, ale światło słoneczne wlewało się przez okna hydroplanu i mój zdezorientowany zegar biologiczny nie pozwalał mi zasnąć. Gdy się poddałam i otworzyłam oczy, zauważyłam, że T.J. mi się przygląda. Jego mina i rumieniec na mojej twarzy wskazywały na to, że oboje poczuliśmy się zakłopotani. Odwrócił się, wsunął plecak pod głowę i po kilku minutach zasnął.

Niespokojna, odpięłam pas bezpieczeństwa i podeszłam do Micka, by spytać go, za ile mniej więcej wylądujemy.

– Za jakąś godzinkę. – Wskazał mi fotel drugiego pilota.
– Usiądź, jeśli masz ochotę.

Usiadłam i zapięłam pas. Osłaniając oczy od słońca, chłonęłam widok zapierający dech w piersi. Niebo nad nami było błękitne i bez jednej chmurki. Ocean Indyjski pod nami miał przepiękną turkusową barwę.

Mick potarł pięścią pierś i sięgnął po fiolkę środków neutralizujących kwas żołądkowy. Włożył jedną tabletkę do ust.

– Zgaga. Nie powinienem jeść cheeseburgerów. Ale są znacznie smaczniejsze od tej choleralnej sałaty.

Roześmiał się, a ja pokiwałam ze zrozumieniem głową.

– Skąd jesteście?

– Z Chicago.

– A co robisz tam, w Chicago? – Włożył do ust kolejną tabletkę.

– Uczę angielskiego w dziesiątej klasie.

– Ach, letnie wakacje.

– Cóż, nie dla mnie. Zwykle w lecie udzielam prywatnych korepetycji uczniom. – Wskazałam na T.J. – Jego rodzice

zatrudnili mnie, bym pomogła mu nadrobić zaległości w szkole. Chorował na chłoniaka Hodgkina i opuścił mnóstwo zajęć.

– Tak myślałem, że jesteś za młoda na jego matkę.

Uśmiechnęłam się.

– Jego rodzice i siostry polecili na wyspę już kilka dni temu.

Nie mogłam wyjechać razem z Callahanami, ponieważ szkoła publiczna, w której uczyłam, rozpoczynała letnie wakacje kilka dni później niż prywatna szkoła T.J. Gdy się o tym dowiedział, przekonał rodziców, by pozwolili mu zostać w Chicago na weekend i polecieć razem ze mną. Jane Callahan zadzwoniła do mnie, by spytać, czy się na to zgodzę.

– Jego przyjaciel Ben organizuje imprezę i T.J. bardzo chciałby na nią pójść. Jesteś pewna, że nie masz nic przeciwko temu? – spytała.

– Nic a nic – odrzekłam. – Dzięki temu będziemy mieli okazję, by się poznać.

Spotkałam T.J. tylko raz, gdy odbywałam rozmowę z jego rodzicami. Niewątpliwie muszę uzbroić się w cierpliwość, nie od razu przekonam go do siebie; zawsze działa się tak, kiedy zaczynałam pracę z nowym uczniem, zwłaszcza z nastolatkiem.

Głos Micka przerwał moje rozmyślenia.

– Jak długo tam będziecie?

– Przez całe lato. Wynajęli dom na wyspie.

– To znaczy, że chłopak czuje się już dobrze?

– Tak. Jego rodzice mówili, że przez jakiś czas był bardzo chory, ale kilka miesięcy temu nastąpiła remisja.

– Piękna lokalizacja jak na letnią pracę.

Uśmiechnęłam się szeroko.

– Znacznie sympatyczniejsza od biblioteki.

Przez chwilę lecieliśmy w milczeniu.

– Naprawdę jest tutaj tysiąc dwieście wysp? – spytałam. Doliczyłam się na razie trzech czy czterech, rozproszonych na wodzie niczym ogromne elementy układanki. Czekałam na jego odpowiedź. – Mick?

– Słucham? Ach, tak, plus minus. Tylko około dwustu jest zamieszkałych, ale spodziewam się, że przy obecnym tempie rozwoju to się zmieni. Co miesiąc otwierają nowy hotel lub ośrodek wypoczynkowy. – Zachichotał. – Każdy chce mieć swój kawałek raj.

Potał znowu pierś i zdjął lewą rękę z wolantu, wyciągając ją przed siebie. Dostrzegłam, że krzywi się z bólu, na jego czole perlił się pot.

– Dobrze się czujesz?

– Nic mi nie jest. Po prostu nigdy nie miałem tak silnej zgagi. – Włożył do ust dwie kolejne tabletki alkalizujące i wyrzucił opakowanie.

Poczułam się bardzo nieswojo.

– Chcesz, żebym kogoś wezwała? Jeśli mi pokażesz, jak się obsługuje radio, mogę to zrobić za ciebie.

– Nie, zaraz leki zaczną działać i będzie dobrze. – Wziął głęboki oddech i uśmiechnął się do mnie. – Ale dziękuję za troskę.

Przez chwilę wyglądało na to, że faktycznie jest lepiej, ale po dziesięciu minutach Mick zdjął prawą rękę z wolantu i potarł lewe ramię. Pot sływał mu po policzkach, oddychał płytko, wiercił się w fotelu, jak gdyby nie mógł znaleźć wygodnej pozycji. Mój niepokój przerodził się w panikę.

T.J. obudził się.

– Anno! – zawołał głośno, żebym usłyszała go przez warkot silników. Obejrzałam się. – Czy już dolatujemy?

Odpięłam pas i przesłam, by usiąść z powrotem obok T.J. Nie chcąc krzyczeć, przyciągnęłam go bliżej i powiedziałam:

– Posłuchaj, jestem całkiem pewna, że Mick ma zawał. Odczuwa ból w klatce piersiowej i wygląda okropnie, ale utrzymuje, że to zgaga.

– Co takiego?! Mówisz poważnie?

Skinęłam głową.

– Mój ojciec przeżył rozległy zawał w zeszłym roku, więc znam objawy. Myślę, że boi się przyznać, że źle się czuje.

– A co będzie z nami? Czy może dalej pilotować samolot?

– Nie mam pojęcia.

Podeszliśmy z T.J. do Micka, który przyciskał obie pięści do piersi, a oczy miał zamknięte. Hełmofon mu się przekrzywił, twarz poszarzała.

Ogarnięta panicznym przerażeniem przykucnęłam obok jego fotela.

– Mick – ponagliłam go. – Musimy wezwać pomoc.

Skinął głową.

– Najpierw zamierzam wodować, a potem któreś z was będzie musiało zastąpić mnie przy radiostacji – wykrztusił z trudem. – Włóżcie kamizelki ratunkowe. Są w schowku obok drzwi. Potem usiądźcie na swoich miejscach i zapnijcie pasy. – Skrzywił się z bólu. – Szybciej!

Serce tłukło mi się w piersi jak szalone, czułam nagły przypływ adrenaliny. Przeszliśmy szybko do schowka i przetrząsnęliśmy go.

– Dlaczego musimy włożyć kamizelki ratunkowe, Anno?

Przecież ten samolot ma pływaki, prawda?

Mick obawia się, że nie zdąży nas wodować? – przemknęło mi przez głowę.

– Nie wiem, może taka jest procedura operacyjna. Wodujemy pośrodku oceanu. – Znalazłam kamizelki ratunkowe, wciśnięte między pojemnik w kształcie cylindra z napisem TRATWA RATUNKOWA a kilka koców. – Proszę. – Podałam T.J. jedną kamizelkę i sama włożyłam drugą. Usiedliśmy i zapięliśmy pasy, ręce trzęsły mi się tak okropnie, że udało mi się to dopiero za trzecim razem. – Jeśli on straci przytomność, będę musiała natychmiast zacząć resuscytację krążeniowo-oddechową. Ty zajmiesz się radiostacją, dobrze?

T.J. skinął głową, oczy miał szeroko otwarte.

– Dobrze, potrafię to zrobić.

Zacisnęłam dłonie na oparciach fotela i patrzyłam przez okno na zbliżającą się rozkołysaną powierzchnię oceanu. Ale zamiast zwolnić, nabieraliśmy szybkości, opadając pod ostrym kątem. Zerknęłam na Micka. Osunął się na wolant, nie poruszał się. Odpięłam pas i rzuciłam się przejściem w jego stronę.

– Anno! – krzyknął T.J. Rąbek mojej bluzy wyslizgnął mu się z palców.

Zanim zdążyłam dotrzeć do Micka, ten gwałtownie odchylił się do tyłu w fotelu, gdy nastąpił silny paroksyzm bólu. Nos hydroplanu ostro poderwał się do góry, uderzyliśmy w wodę najpierw ogonem i podskakiwaliśmy zygzakiem po falach. Czubek jednego skrzydła zawadził o wodę i niesterowany przez nikogo samolot kilkakrotnie przekoziółkował.

Siła uderzenia zbiła mnie z nóg, jak gdyby ktoś obwiązał

mi kostki linką i mocno szarpnął. Moje uszy wypełnił brzęk tłuczonego szkła, poczułam, że lecę, następnie przesyłał mnie ostry ból, gdy hydroplan się rozpadł.

Pograżyłam się w oceanie, słona woda wdarła mi się do gardła. Byłam kompletnie zdezorientowana, kiedy kamizelka ratunkowa wynosiła mnie powoli do góry. Gdy głowa znalazła się na powierzchni, rozkaszałam się gwałtownie, próbując pozbyć się wody z płuc i nabrać powietrza.

T.J.! O mój Boże, gdzie jest T.J.?

Wyobrażając sobie, że siedzi uwięziony w swoim fotelu i nie może odpiąć pasa, gorączkowo przeszukiwałam wodę spojrzeniem; mrużyłam oczy w słońcu i wykrzykiwałam jego imię. Gdy pomyślałam, że z pewnością utonął, chłopiec wynurzył się, krztusząc się i dławiąc.

Popłynęłam w jego stronę, czując w ustach smak krwi, a w głowie taki rwący ból, jakby miała mi za chwilę pęknąć. Gdy dotarłam do T.J., chwyciłam go za rękę i chciałam mu powiedzieć, jak bardzo jestem szczęśliwa, że zdołał wyjść cało z opresji, ale słowa uwięzły mi w gardle i zaczęłam zapadać w nicość.

T.J. krzyczał na mnie, żebym się obudziła. Pamiętam wysokie fale, pamiętam, jak znowu krztusiłam się wodą, a potem już nic.